

Rozmyślania



Fot. Andrzej Walter

Ludzie, po których zostają góry

*Są takie telefony, których człowiek nigdy nie chciałby odebrać. Są takie wiadomości, które w jednej chwili zatrzymują czas, odbierają mowę i każą długo patrzeć w milczeniu przed siebie. Tak było i tym razem. Kiedy dotarła do mnie wiadomość o **Andrzeju Krzysztofie Torbusie**, przez dłuższą chwilę nie potrafiłem uwierzyć. Przecież jeszcze tak niedawno rozmawialiśmy. Jeszcze tak niedawno wymienialiśmy maile. Jeszcze tak niedawno wspominaliśmy ludzi, których już z nami nie ma, jakbyśmy naiwnie wierzyli, że nam samym dano jeszcze wiele wspólnych lat. Nie było. Andrzej zmarł 27 lipca 2026 roku... w Krakowie... Miał 76 lat.*

Andrzej Dębowski

Odchodzą poeci. Odchodzą przyjaciele. Odchodzą ludzie, którzy przez dziesięciolecia tworzyli krajobraz naszego życia. A wraz z nimi odchodzą miejsca, rozmowy, śmiech, wspomnienia i ten szczególnie rodzaj ciepła, którego nie da się już odnaleźć w nikim innym.

Z Andrzejem znaliśmy się ponad trzydzieści pięć lat. To nie była znajomość z literackiego salonu ani przypadkowa relacja z kilku festiwalu. To była przyjaźń budowana przez dziesiątki spotkań, setki rozmów telefonicznych, niezliczone wiadomości, wspólne biesiady, także przy wódce, dyskusje o poezji, o Polsce, o górach, o ludziach. Przyjaźń, która dojrzewała powoli, bez deklaracji, za to z ogromnym zaufaniem.

Poznaliśmy się w Ciężkowicach. Jakże odległy wydaje się dziś tamten czas. Byliśmy młodszy, pełni literackich marzeń, przekonani,

że poezja może jeszcze zmieniać świat. Wokół kręcili się poeci z całej Polski. Wśród nich Henio Cyganik, Staś Franczak i Andrzej Torbus. Już po kilku godzinach rozmów wiedziałem, że spotkałem człowieka niezwykłego. Nie dlatego, że imponował erudycją. Nie dlatego, że miał za sobą sukcesy, których przecież nie brakowało. Urzekł mnie czymś znacznie cenniejszym – swoją prostotą. Był jednym z tych ludzi, którzy nie noszą masek. Nie udawał wielkiego poety, choć nim był. Nie budował dystansu, choć mógł. Nie otaczał się murem własnej legendy. Siadał obok człowieka i rozmawiał tak, jakby znali się od dzieciństwa. Już wtedy pomyślałem, że to ktoś, z kim warto iść przez życie. Nie pomyliłem się.

Przez następne dziesięciolecia nasze drogi przecinały się nieustannie. Spotykaliśmy się na festiwalach, konkursach poetyckich, promocjach książek, wieczorach autorskich i zjazdach Związku Literatów Polskich. Czas płynął, zmieniały się miejsca, zmieniali się ludzie, ale Andrzej pozostawał taki sam. Pogodny. Dowcipny. Serdeczny. I niewiarygodnie dobry. Do dziś nie potrafię przypomnieć sobie sytuacji, w której odmówiłby komuś pomocy. Nigdy nie słyszałem z jego ust pogardy wobec młodych poetów. Nie wyśmiewał debutantów. Nie zazdrościł sukcesów kolegom. Umiał cieszyć się cudzym szczęściem, a to przecież jedna z najrzadszych cech ludzi naprawdę wielkich. Kiedy dzwonił telefon i na wyświetlaczu pojawiał się jego nazwisko, wiedziałem, że czeka mnie dobra rozmowa. Nigdy krótka i zawsze pełna humoru, często rubasznego...

Rozmowy z Andrzejem miały własny rytm. Zaczynały się od zwyczajnego: „Co słychać?”, a po kilku minutach byliśmy już w Beskidzie lub pod bieszczadzkim niebem, przy Harasymowiczu, przy starych poetach, przy nowych książkach, przy sprawach Związku Literatów Polskich, przy polityce, przy codzienności, przy rodzinie. Potrafiłmy rozmawiać godzinami. Takich rozmów nie zapisuje żadna historia literatury. One istnieją tylko w pamięci przyjaciół. I dlatego są bezcenne.

Jeszcze więcej było maili. Czasem krótkich. Czasem długich jak eseje. Wysyłał mi swoje wiersze. Czytaliśmy wzajemnie swoje teksty. Komentowaliśmy książki. Dyskutowaliśmy o autorach. Bywało, że nie zgadzaliśmy się ze sobą, ale nigdy nie przestawaliśmy się słuchać. To była rozmowa ludzi, którzy naprawdę kochali literaturę. Kiedy przyjeżdżałem do Krakowa, niemal zawsze znajdowaliśmy czas, żeby spotkać się w „Pod Jaszczurami”. Dzisiaj wielu młodych ludzi nie rozumie już, czym były takie miejsca. To nie był zwykły klub. To był fragment historii polskiej kultury. Siadaliśmy przy piwie. Czasem było nas kilku, czasem tylko we dwóch. Rozmowy trwały długo, czasami za długo... Nie spieszyliśmy się. Każda anegdota prowadziła do następnej. Każde wspomnienie otwierało kolejne drzwi pamięci.

Andrzej miał niezwykły dar opowiadania. Potrafił zwyczajną historię zamienić w małą balladę. Nie wiadomo było, gdzie kończy się fakt, a zaczyna poezja. Ale właśnie taki był. Nawet w codzienności widział coś więcej niż inni. Miał duszę bajora, wyobraźnię dziecka, serce człowieka, który nigdy nie przestał się za-

chwycać światem. Pamiętam nasze rozmowy o Jerzym Harasymowiczu. Dla obu był kimś więcej niż tylko poetą. Był punktem odniesienia, był mistrzem. Po jego odejściu długo zastanawiałem się, kto potrafi przejąć ten niezwykły sposób patrzenia na krajobraz. Kto umie słuchać drzew, gór, rzek i wiatru, kto potrafi pisać o przyrodzie tak, żeby nie była dekoracją, ale bohaterem. Zawsze wracałem do jednego nazwiska – Andrzej Krzysztof Torbus. Dla mnie właśnie on stał się najwybitniejszym polskim poetą pejzażu po śmierci Jerzego Harasymowicza. Nie dlatego, że próbował go naśladować. Nigdy tego nie robił. Był zbyt mądrym poetą. On po prostu odnalazł własną ścieżkę prowadzącą przez te same góry. Szedł nią spokojnie. Bez hałasu, bez literackiej reklamy, bez potrzeby udowadniania komukolwiek swojej wielkości. A przecież był wielki. Naprawdę wielki.

Był poetą osobnym. W czasach, kiedy wielu autorów za wszelką cenę próbowało zaskoczyć czytelnika formalnym eksperymentem, epatowało intelektualnymi łamigłówkami albo zamykało poezję w hermetycznych konstrukcjach zrozumiałych wyłącznie dla wąskiego grona wtajemniczonych, Andrzej szedł własną drogą. Nie oglądał się na mody. Nie interesowały go literackie sezonowe zachwyty ani środowiskowe układy. Wiedział, że poezja ma przede wszystkim mówić do człowieka. I mówiła. Mówiła językiem prostym, ale nigdy prostackim. Pełnym metafor, lecz nigdy wydumanych. Pięknym, lecz pozbawionym sztucznej ozdobności. W jego wierszach wszystko miało swoje miejsce. Każde słowo było przemyślane, każde porównanie wyrastało z doświadczenia, a każda metafora zdawała się rodzić z krajobrazu, który nosił w sobie od zawsze. Był prawdziwym sztukmistrzem metafory. Niewielu poetów potrafiło tak zonglować obrazami, nie popadając przy tym w przesadę. U Andrzeja metafora nigdy nie była popisem. Była naturalnym oddechem poezji. Czytając jego wiersze, miałem wrażenie, że świat naprawdę wygląda właśnie tak, jak go opisał. Jakby drzewa mówiły jego językiem, jakby potoki znały jego rytm, jakby góry od wieków czekały właśnie na niego, aby ktoś wreszcie oddał im głos.

Po śmierci Jerzego Harasymowicza wielu próbowało wejść w przestrzeń poezji pejzażowej. Jedni kopiowali jego sposób obrazowania, inni zachowywali się powierzchownym podobieństwem. Andrzej nie zrobił ani jednego, ani drugiego. On nie szedł śladami Harasymowicza. On odnalazł własną ścieżkę prowadzącą przez Beskidy, Bieszczady, połoniny i doliny, których piękno nosił w sercu. Nie dlatego, że pisał o górach. Wielu pisze. On sprawiał, że góry same zaczynały pisać. W jego balladach wiatr miał twarz starego wędrowca, mgła stawała się pamięcią minionych pokoleń, kamienie przechowywały ludzkie sekrety, a drzewa pamiętały imiona tych, którzy dawno odeszli. To była poezja zakorzeniona w naturze, ale jednocześnie głęboko humanistyczna. Człowiek nigdy nie dominował w niej nad światem. Był tylko jego częścią. Dlatego jego utwory tak pięknie odnajdywały się również w piosence.

(Dokończenie na stronie 16)